

Doświadczenie tęsknoty, czyli i Polska, i Szwajcaria

Motto: *Uczyłam się w życiu bardzo wielu rzeczy. Najważniejsze było to, że świat rozdzielony - przez innych, bo tak to się uważało - mnie się połączył w jedno, to mi dało poczucie integracji ze światem w ogóle, światem jednym dla wszystkich.*

Lot w świat!

Gdy w tamten słoneczny sierpniowy dzień roku 1974 wsiadałam po raz pierwszy w życiu na pokład samolotu, by po raz pierwszy w życiu opuścić granice Polski, mój los to już za mnie postanowił: Szwajcaria stanie się moją drugą ojczyzną. Ja sama niczego nie przeczuwałam, nie planowałam, cieszyłam się lotem, przygodą, nowymi perspektywami, spotkaniem z mężczyzną, do którego leciałam, smuciłam, że oto zostawiam za sobą przeszły czas i moich bliskich. Ale przecież nie na zawsze. Na trochę, na jakiś czas. Wrócę przecież!

I wróciłam. Ale ja inna i do innych już miejsc i ludzi. Po pół roku wszystko już było inne, jak inna była pora roku, do której wróciłam. Wyjeżdżałam w pełni lata, wracałam w środku zimy. Cieszyłam się powrotem, ale smuciłam, bo zostawiałam bliskiego mi człowieka i nasz wspólny czas, który nas tak bardzo zbliżył. Czy jeszcze się powtórzy? Francuzi mówią, "*partir, c'est mourir un peu*" [1], tak, wyjechać, to jakby trochę umrzeć, byliśmy pełni obaw, czy rozłąka nie rozdzieli nas na zawsze. Łączyło nas wiele, ale czy nie więcej dzieliło?

A mówiąc dokładniej, dzieliły nas światy i czasy. Jego świat i mój świat to były dwa odrębne światy, jego czas i mój czas, to były dwa odległe czasy. Żadne z nas nie wiedziało, że nasze losy już od pierwszego dnia, tego, w którym się poznaliśmy, 22 lipca 1972 roku, były mocno ze sobą związane, a miały się spleść jeszcze nierozzerwalnie i jeszcze bardziej nieprzewidywalnie. Dziś, gdy to piszę, gdy wspominam wszystko, co mi się przydarzyło, zdumiona jestem przede wszystkim tym, że mimo wszelkich przeszkód i mielizn los sam wiedział, którądy wybierać drogę i jak omijać pułapki, żeby się spełnić.

Herr Los

Dochodzę więc do wniosku, że mój los był... jest... mądrzejszy ode mnie. Właściwie powinnam pisać o nim dużą literą: Los. A nawet "Pan Los", a jeszcze lepiej, "*Herr Los*". Tak właśnie, po niemiecku i po polsku. "*Herr*", po niemiecku, brzmi jeszcze bardziej odgórnie i autorytarnie, niż swojski polski "*Pan*", zaś połączenie niemieckiego z polskim oddaje w punkt to, co chcę opisać, moje życie w tych dwóch językach, dwóch światach, które najpierw podzieliły mój mózg na dwa przeciwległe bieguny, a potem połączyły w jedną spójną sferę. Tak mi było pisane. Przeznaczenie? Kto dziś wierzy w przeznaczenie? Ale nie wierzę też, że człowiek jest "panem swojego losu". Nie jest! Zbyt dużo przydarza się poza nim, ponad nim, niezależnie od jego woli. Zbyt dużo człowiek widzi dopiero *post factum* a nie *dostrzega a priori*.

I dobrze, bo sama nie miałabym ani tyle wytrwałości, ani tyle fantazji, żeby stworzyć sobie Los, który mnie spotkał. Z góry dodam, że jestem Mu za to wdzięczna. Był dla mnie hojny i łaskawy. Gdy czytałam swoje pierwsze przygodowe książki i marzyłam o życiu pełnym przygód, mój Los zaglądając mi przez ramię czytał razem ze mną i już się szykował... Dobry Los, pomysłowy. Choć fakt, czasami wystawiał mnie na próby, czasami dawał nauczkę, a czasami potrafił kpić sobie ze mnie w żywe oczy.

Na przykład wtedy, gdy razem z moją przyjaciółką od serca, tuż przed naszą maturą, w jej kuchni na osiedlu Słonecznym, rozmawialiśmy o językach, które - obok szkolnych, rosyjskiego i angielskiego - chciałybyśmy znać, i zarzekałam się, że niemiecki byłby ostatnim językiem, jakiego chciałabym się nauczyć. Francuski, włoski, hiszpański? O, tak! Melodyjnie, romantycznie... Ale niemiecki?! Nigdy! Moja przyjaciółka nie była aż tak kategoryczna, ale też o niemieckim z pewnością nie marzyła. A właśnie niemiecki miał się stać naszym drugim językiem po polskim. Moim i jej. Nie angielski, nie rosyjski, nie francuski i nie włoski..., niemiecki! *Deutsch!*

Hochdeutsch! I jeszcze *Schwytzertüütsch*, szwajcarski, odmiana zuryska, *Züritüütsch*, na dokładkę, nasz, mój Los ma poczucie humoru. [2]

Losów splot

Ledwie minął maturalny maj, a już nastał lipiec a ja wraz z mamą i siostrą wyjechałam na wakacje na Mazury. Tym samym znacznie zbliżyłam się do losowej ścieżki pewnego Szwajcara, którego jego z kolei Los sprowadził do Polski w wyniku różnych nieszczęśliwych zbiegów okoliczności: po pierwsze rzuciła go żona, więc chciał uciec jak najdalej od bólu rozstania, po drugie planował podróż koleją transsyberyjską przez ZSRR do Japonii, ale nie udało mu się zebrać wszystkich wiz i pozwoleń od republik radzieckich, więc pozostał z ręką w nocniku, i po trzecie było mu w tej sytuacji wszystko jedno, więc pojechał na wschód, bo zachód już znał. Tak znalazł się w Polsce, choć - z jego punktu widzenia - nie mniej egzotycznie, niż na Syberii.

A więc 22 lipca 1972 roku nasze ścieżki na moment się przecięły a Losy - na razie niepostrzeżenie - na zawsze splotły. Krótkie spotkanie okazało się być znamienne w skutki. I to nie tylko dla mnie i dla niego, ale i dla mojej przyjaciółki (a także naszych rodzin). "Mój" Szwajcar, Richard, z wykształcenia romanista (a tak, tak, francuski, włoski, hiszpański...), utalentowany był (jest) także plastycznie, całe życie malował, rysował, fotografował... Z zawodu był nauczycielem języków obcych dla Szwajcarów i niemieckiego dla cudzoziemców w prywatnej zuryskiej szkole. W czasie (długich, jak to w szkole) wakacji jeździł po świecie i zbierał materiały do prasy - w latach 70. publikował fotoreportaże ze swoimi poetyckimi tekstami w rozkładówce gazety z St. Gallen.

W Polsce wśród rozmaitych fotograficznych tematów znalazłam się i ja. Dwa filmy czarno-białych portretów dotarły do mnie jeszcze tamtego lata. Wszystkim się podobały, były piękne, więc pięknie podziękowałam i myślałam, że na tym koniec znajomości. Poza tym ja miałam swoje życie uczuciowe, on, jak się mogłam domyślać, swoje, do głowy mi nie przyszło, że mój Los ma na ten temat zupełnie inne zdanie, rozpoczęta korespondencja nie zamarła, ale zaczęła się niespiesznie i niezobowiązująco rozwijać...

Od czasu do czasu dostawałam czy to niedługi liścik, czy kartkę z podróży, taki znak z "wielkiego" świata. Wysyłałam więc odpowiedzi do tego "wielkiego" świata. Pisaliśmy do siebie po angielsku, ale, co charakterystyczne, słowa angielskie w wiadomościach od Richarda coraz częściej zastępowały słowa polskie, poliglota z pasji i profesji, uczył się języków szybko, metodycznie i skutecznie. Przekonałam się o tym, gdy wpadł na kilka dni do Polski. Oprawdzałam go po Warszawie, gdzie wtedy mieszkałam - po polsku. A mnie znowu - ani w głowie nie powstało, żeby się uczyć niemieckiego. Nie przewidywałam wyjazdu do żadnego niemieckojęzycznego kraju.

Miękkie lądowanie w obcym świecie

Kiedy więc 4 sierpnia 1974 roku Los wysadził mnie na lotnisku w Zurichu, niemiecki był dla mnie tak samo egzotyczny jak suahili. Na szczęście Richard mówił już bardzo dobrze po polsku. Nie mogę więc powiedzieć, że zostałam wrzucona na głęboką wodę, wręcz przeciwnie, wylądowałam w puchu. Tyle że nie rozumiałam, co mówią inni wokół mnie. Rodzice Richarda, jego dzieci (miał dwoje kilkulatków), jego liczni znajomi, którzy przychodzili mnie oglądać. A przychodzili mnie oglądać, bo... No, właśnie, bo?...

Wylądowałam w Zurichu. Wtedy jeszcze nie śniło się o tanim lataniu, masowej turystyce. Latanie było ciągle czymś ekskluzywnym, wyjątkowym, lotnisko w Warszawie było malutkie, żeby nie powiedzieć, skromne, zresztą nie powiem, bo wydawało mi się najbardziej światowym miejscem pod słońcem, zuryskie je przebiło pod względem światowości, ale też było do ogarnięcia, kameralne, eleganckie. Gdy z lotniska zbliżyliśmy się do Zurichu - nie pamiętam już czy taksówką, czy autobusem, Richard nie miał i nigdy nie miał mieć samochodu - miasto ukazywało się w miarę zagęszczenia się domów i ulic jako położona na zboczach wzgórz miejscowość o niewysokim zabudowaniu, z dużą ilością drzew, ogrodów, skwerów, fontann... Takie bardziej Zakopane, było lato, więc lotnisko (zimą Zurich przypomina kurort narciarski).

Dotarliśmy do wolno stojącej otoczonej zielenią kamienicy z wykuszami i tarasem na dachu wśród podobnych domów przy ulicy położonej w jednej trzeciej zalesionego u szczytu wzgórza, poniżej było samo centrum Zurichu skupione wokół dwóch rzek, Sihl i Limmat. Mieszkanie Richarda to było całe drugie piętro, przeszklone szerokie drzwi wejściowe, a za nimi długi załamujący się w połowie korytarz, mnóstwo drzwi. Pomiedzy nimi na każdym wolnym kawałku ściany - nie licząc dużego lustro w ozdobnej ramie - albo półki z książkami, albo... moje czarno-białe fotografie w rozmiarach makro. W pokojach, obok kolorowych obrazów, to samo. Wśród kolorowych obrazów także moja twarz, na zdjęciach i na obrazach. Namalowana przez Richarda w różnych wariacjach. Oglądałam mieszkanie i nie mogłam w to uwierzyć! "*My Polish dream*", śmiał się Richard. I to właśnie dlatego wszyscy chcieli pooglądać mnie sobie "na żywo".

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z owym mitycznym Zachodem. Spotkanie samej ze sobą. Zanim tam byłam, już tam byłam. Jeśli mój Los szykował mi niespodziankę w nowym dla mnie świecie, to trzeba przyznać, udało mu się. Ponadto Richard oprowadzał mnie po Zurichu, jak ja jego po Warszawie, po polsku. A był to czas *hippie* w rozkwicie, na ulicach atmosfera *flower-power*, policja jeszcze długo nie przeganiała nikogo, kto miał ochotę śpiewać, grać, czy choćby siedzieć pod murami domów na starym mieście... Na schodach przy Bellevue, placu gdzie Limmat wypływa z jeziora Zuryskiego a na horyzoncie Alpy wbijają się ostrymi szczytami w niebo, młodzi ludzie pili wino, palili trawkę, może i kosztowali LSD, rozbawieni, rozleniwieni, rozanieleni... "legendarna riwiera", mówi się dziś.

Lato w raju dzieci-kwiatów

Tak było, nie przesadzam, minie trochę czasu, zanim zuryzszanom ukaże się przerażająca druga strona medalu, którą opiszę 15 lat później w reportażu dla "Przekroju" o dramacie narkomanów z placu Platzspitz, choć wszyscy znaleźliśmy już wstrząsający film "Narkomani" ("The Panic in Needle Park") z roku 1971 z rewelacyjnym Alem Pacino, ale gdzie Rzym, gdzie Krym... Na razie też czułam się jak dziecko-kwiat, szczęśliwa, beztroska, młoda. Miałam 20 lat. *Byłam* szczęśliwa, beztroska i młoda.

Richard miał 37 lat, był znacznie poważniejszy, nie w głowie mu były narkotyki, ale był przecież nadal młody, ba, w kwiecie - *nomen omen* - wieku. Ze swoimi włoskimi korzeniami ze strony ojca - babcia pochodziła z włoskiego Livorno - był w typie brodatego Ala Pacino z filmu "Serpico" [3]. Był moim mistrzem, mentorem, ciceronem po tym raju pełnym drzew-poznania-dobra-i-zła i dzieci-kwiatów. Choć, co podkreślę, bez odurzania się narkotykami, Richard palił gaulouise'y w charakterystycznym niebieskim opakowaniu, lub fajkę, żeby palić mniej papierosów, ja nie paliłam niczego, bo w ogóle nie palę. Tak czy tak bawiliśmy się doskonale.

Chodziliśmy na koncerty, jazzowe, popkulturowe, poważne, słuchaliśmy Leonarda Cohena, Chica Corei, Keitha Jarretta, Joan Baez... w domu i *life*, ze sceny, w oparach marihuany, dziś to trudne do wyobrażenia, ale ludzie palili w sali koncertowej i nikt im tego nie zabraniał. Richard jednakowoż nie był aż tak tolerancyjny. Do jego domu przychodzili jego uczniowie i byli uczniowie. Szkoła, w której pracował, Instytut Minerva, to była szkoła dla dorosłych, kolegowanie się z ulubionymi nauczycielami było normą. A Richard był jednym z najbardziej ulubionych i mieszkał o rzut beretką od szkoły. Wymagający, sumienny nauczyciel, po godzinach pracy był świetnym kucharzem, wesołym kompanem i interesującym rozmówcą. Bez najmniejszego wysiłku przeskakiwał z języka na język nie zapominając o tłumaczeniu mi wszystkiego na polski.

Ach, te języki, ten nieszczęsny niemiecki! Ale im więcej mówiących po niemiecku - a właściwie w języku miększym, szwajcarskim - słyszałam wokół siebie, tym bardziej przekonywałam się, że moje uprzedzenie wynikające z kontaktu z wrogim chrapliwym niemieckim z wojennych filmów nie ma nic wspólnego z normalnym ludzkim językiem czasów *peace-and-love*. Ludzie dyskutowali, rozprawiali o książkach, o filmach, o muzyce, żartowali, flirtowali... Chodzili do teatrów, na wykłady, na spotkania z pisarzami... Chciałam być taka jak oni, być jedną z nich! Chciałam zostać z nimi!

Koniec lata

Zarazem zaczynałam poznawać smak nostalgii. Lato powoli ustępowało jesieni, zrobiło się mniej radośnie a bardziej melancholijnie. Ciągnęło mnie do domu. Do rodziny, do moich mówiących po polsku przyjaciół, do języka polskiego wokół mnie, na ulicach, w sklepach...

Richard mówił po polsku coraz płynniej, coraz precyzyjniej, między sobą rozmawialiśmy wyłącznie po polsku (tak jest do dziś, gdy się spotykamy, lub dzwonimy do siebie czasami*) ale przestało mi to wystarczać. Tęskniłam do odprężenia się wśród swoich.

Bo taki pobyt w innym kraju, w nowym środowisku, gdzie praktycznie wszystko jest obce, to przede wszystkim stan wzmożonej uważności, nieustępujące napięcie. Coś jak gimnastyka, na której trzeba się maksymalnie skoncentrować, żeby ćwiczyć świadomie te a nie inne mięśnie, a nie zwyczajne chodzenie z głową w chmurach bez nieustającego kontrolowania pracy nóg i reszty ciała... Zaczęłam odczuwać symptomy psychicznego zakwasu. Mój mózg dopominał się o relaks.

Prolongata lata

Tymczasem udało nam się jednak przedłużyć tamto niezapomniane lato. Nadeszły jesienne ferie - w Szwajcarii nie ma dwumiesięcznych wakacji, są za to cztery razy w roku ferie szkolne po kilka tygodni - a my wyjechaliśmy do Włoch z trzytygodniowym abonamentem na wszystkie pociągi. Tam lato jeszcze trwało a my mogliśmy jeździć gdzie oczy poniosą. Mój pierwszy pobyt we Włoszech i od razu w całości i to z przewodnikiem, jakim był Richard, absolwent humanistycznej matury z łaciną i starą greką, miłośnik sztuki! No, bajka!

Dotarliśmy aż do Bari, skąd do Krakowa przybyła królowa Bona i gdzie wróciła, żeby umrzeć, aż do Metaponta na samym południu, gdzie tą samą plażą wieki wcześniej chodził Pitagoras ze swoimi uczniami, aż na sam szczyt wulkanu na wyspie Vulcano, mniejszej siostry dymiącego ogniem Stromboli, świadka zakazanej miłości Ingrid Bergman i Roberta Rossellini, i z powrotem, przez Neapol i Pompeje, przez Sorrento, o którym pisała Anna German, a ja jej książkę jeszcze przed wyjazdem do Szwajcarii czytałam, przez Rzym z "Dolce vita" Felliniego, aż po urokliwe *Cinque Terre*, pięć miasteczek wlepionych w górzyste wybrzeże Włoskiej Riwiery, kiedyś trudno dostępnych z łądu pirackich kryjówek.

W Rzymie wrzuciliśmy monetki do fontanny Di Trevi, ale w Monterosso al Mare, ostatnim z pięciu Cinque Terre patrząc od południa, i ostatnim naszym postojem, przysięgliśmy sobie, że tu jeszcze razem wrócimy.

Wracaliśmy kilkakrotnie. Razem, a potem razem z innymi partnerami. Ale wakacje w lecie w 1976 roku, które spędziliśmy właśnie tutaj z dziećmi Richarda, 10-letnim wtedy synem i 8-letnią córeczką, na krótko przed naszym ślubem we wrześniu 1976, to były jedne z najpiękniejszych wakacji całego mojego życia. Tęsknię do tamtego lata do dzisiaj, tamtych miejsc, tamtego zapachu morza i specyficznego swądu grilowanych *frutti di mare*, smaku poobiednich *gelati tartufi* otulonych grubo gorzkim proszkiem kakao z płynną czekoladą w sercu, i do cierpkiego owczego sera *pecorino* z wieczornym winem, tamtych nas pod tamtym włoskim niebem... Nie to, że moje późniejsze wakacje były gorsze, ale tamte - takie - były pierwsze.

Dwa lata później

To było dwa lata po moim premierowym wyjeździe w świat, wtedy już mówiłam całkiem znośnie po niemiecku. Czas ten podzielił się dość dokładnie pół na pół między Polskę a Szwajcarię, pół roku w Polsce, pół w Szwajcarii, pół w PL, pół w CH, pół po jednej stronie głowy, pół po drugiej. I kiedy zaczęliśmy się zastanawiać, co ja właściwie ze sobą zrobię, gdy już się pobierzemy i zostanę na stałe w Szwajcarii, a dodam, że dzieci nie chcieliśmy mieć obydwój, ja w ogóle, a Richard już nie, po przyjrzeniu się różnym szkołom zawodowym i artystycznym, doszłam do wniosku, że chcę zrobić normalną szwajcarską maturę i normalnie studiować.

Do matury zdawanej przed komisją państwową przygotowywał Instytut Richarda. Można było wybrać maturę

humanistyczną, z łaciną (matury ze starą greką, jaką miał Richard, nie było już w ofercie szkoły, zbyt małe zainteresowanie), francuskim i angielskim, albo ścisłą, bez starożytnego języka, z nowożytnymi do wyboru. Ta pierwsza, typ "B" ("A" byłby z greką), upoważniała do studiowania na każdej wyższej uczelni w Szwajcarii (i nie tylko w Szwajcarii), ta druga tylko na wybranych kierunkach. Chciałam zrobić typ "B" i mieć każdą możliwość do wyboru.

Był to pomysł szalony. Nawet Richard, który bardzo we mnie wierzył, widział to czarno. W końcu on o wiele lepiej wiedział na co się porywam. Nieoczekiwanie dostałam wsparcie od jego najbliższego przyjaciela, lekarza z kantonu *Ticino* (Tessynu), gdzie czasami wpadaliśmy. Siedzieliśmy w trójkę na podłodze w jego domu w Asconie i dopijaliśmy kolejną butelkę wina dyskutując, ja kulawo, "daj jej spróbować", zamachnął się kielichem rozpryskując wokół siebie resztki wina. I to przesądziło. Nikt już nie miał siły na dalsze wałkowanie tematu.

Instytut Minerva powstał w roku 1904 jako pierwsza szwajcarska prywatna szkoła dla dorosłych. Między innymi w skróconym czasie dwóch i pół lat zamiast (bodaj) czterech przygotowywała do zdania matury różnych typów. Jak to jest dzisiaj, nie wiem, systemy szkolne się zmieniają. Wtedy Instytut miał lat 72 i nie było jeszcze takiego przypadku, żeby jakiś cudzoziemiec ze słabą znajomością niemieckiego zabierał się do ichniejszej matury. Musiałam udać się na rozmowę z dyrektorem szkoły i przekonać go, żeby mnie przyjął. Dyrektorem był wtedy od wielu już lat dr Heri, nobliwy starszy pan z siwą grzywą. Wzbudzał respekt ale nie postrach.

Przekonywałam go posiłkując się skrótowymi hasłami pisanymi na kartce. Siedzieliśmy przy jego biurku naprzeciwko siebie i przesuwaliśmy kartkę między sobą. On dopisywał przedmioty, z których nie dam sobie rady, ja je skreślałam. Nie mam pojęcia co sobie myślał. Ale po tej dziwacznej rozmowie-nie-rozmowie zgodził się. Powiedział, że bierze mnie pod swoją kuratelę (każdy uczeń miał swojego nauczyciela-opiekuna, dyrektor brał pod swoją opiekę uczniów wyjątkowych, nazwijmy to, "specjalnej troski") i że w każdej chwili mogę mu oznajmić, że jednak nie podołam. Przesunie mnie do klasy tzw. małej matury, gdzie, owszem, byli i cudzoziemcy, upoważniającej do studiowania na zuryckiej politechnice ETH, i nie będzie mi wypominał, że mu zawracałam głowę. A co myślałam ja? Ufff, pierwsze koty za płoty!...

Lata szkolne

8 września 1976 roku zostałam żoną Richarda, w październiku pojechaliśmy na miodowe wakacje do Stanów Zjednoczonych z abonamentami na autobusy *Continental Trailways*, cała Ameryka była nasza! Zaczęliśmy od San Francisco i, zahaczając o Meksyk i Kanadę, skończyliśmy w Nowym Jorku. Fantastyczna podróż! Dzień po powrocie przekroczyłam progi Minervy jako jej uczennica. I nawet nie to, że bym była jakoś szczególnie zdolna. Po prostu naprawdę przysiadłam fałdów. Średnio 8 godzin dziennie w szkole, 4 w domu z zakochanym nauczycielem u boku do dyspozycji. Każdą lekcję miałam jeszcze raz przerobioną, spisane słówka, odrobione na blachę zadania, każdy mógł sobie bimbać, ja nie. W ferie się nie uczyłam, ferie były dla życia towarzyskiego i uczuciowego. I tak przez kolejne pięć semestrów plus dodatkowy szósty, bo skorzystałam z możliwości rozłożenia sobie zdawania matury na dwa etapy.

Po tym doświadczeniu mogę powiedzieć tylko jedno, jeśli w coś się naprawdę angażujemy, to nie ma mocnych, musi się udać! A jeśli widzimy, że się udaje, zaczynamy to lubić. Tak właśnie polubiłam - a później miałam wręcz pokochać - język niemiecki. Na maturze z niemieckiego zapracowałam sobie esejem na wolny temat na 5 (6 to max), opisałam jak to księżę Myszkini wrócił ze Szwajcarii do Rosji, za nic nie umiał się tam znaleźć i na czym polegało jego nieprzystosowanie. Chętnie bym przeczytała dziś to wypracowanko. Co i jak mówiłam na ustnym, nie pamiętam, w każdym razie obroniłam tę piątkę. Jeśli zaś chodzi o polski, to z początkiem mojej nauki w Minervie przyjechała do nas moja przyjaciółka, ta, z którą nadawałyśmy na niemiecki jako język nie-do-polubienia. W domu mojego szwajcarskiego męża mówiliśmy wszyscy po polsku.

Przyjaciółka, już po studiach, ale jeszcze przed obroną magistra, pozostała u nas pół roku. To bardzo zniwelowało moją tęsknotę za Polską. Zresztą nie było na nostalgii czasu, który pędził jak szalony. Z rodzicami wymieniałam

długie listy, w końcu i oni przyjechali na któreś Boże Narodzenie, kilka razy zdołałam na krótko skoczyć do Polski, sama, lub z mężem, raz nawet wzięliśmy ze sobą dzieci. Moja przyjaciółka też zdążyła w tym czasie wyjechać i wrócić (już jako pani magister). Jak się miało okazać, na zawsze. Nawet bardziej na zawsze niż ja, bo ja od wielu już lat mieszkam poza Szwajcarią, w Polsce, w Szwecji, a ona przez te wszystkie lata mieszka w Szwajcarii. I mówi po niemiecku, a jakże.

Nasze Losy, które przysłuchiwały się naszym wybrzydzeniom na język niemiecki wtedy jeszcze, przed polską maturą, w kuchni na nowohuckim osiedlu, już wiedziały, co nas spotka. My jeszcze nie. Było nam bardzo dobrze we trójkę, przyjaciółka zrobiła kurs niemieckiego, znalazła pracę, ja zaczęłam studia, matematykę (mimo sukcesu z niemieckiego na maturze, studiowanie na kierunku humanistycznym na razie wydawało mi się nie do pomyślenia), Richard malował i uczył się kolejnych języków (gruzińskiego, koreańskiego i staroegipskich hieroglifów, uczęszczał jako wolny słuchacz tych przedmiotów na zuryskim uniwersytecie), dzieci rosły (żyły na dwa domy, u swojej mamy i u nas)... byliśmy wszyscy bardzo satysfakcjonująco i twórczo zajęci.

Losy po latach

Nie próżnowały też osobiste Losy naszej trójki, pilnie pracowały nad tym, co dopiero miało się stać, a co już wisiało w niedalekiej przyszłości. Jeszcze zrobiliśmy razem taką samą wycieczkę po Włoszech z abonamentami na wszystkie pociągi i - jak cztery lata wcześniej we dwoje - cieszyliśmy się teraz w trójnasób Ligurią i Monterosso, skąd wystartowaliśmy. Posuwając się na południe dotarliśmy aż po Wyspy Liparyjskie, gdzie w greckim amfiteatrze Richard czytał fragmenty "Odysei" po polsku, a my byłyśmy jedyną, za to entuzjastycznie oklaskującą go publicznością, jeszcze razem zasiedliśmy na Hiszpańskich Schodach w Rzymie, przespacerowaliśmy się między papieżami-olbrzymami na dachach Watykanu, jeszcze, jeszcze... W Wenecji zamieniłyśmy się z przyjaciółką ubraniami, bo przecież w Wenecji mus się przebrać...

Wszystkie moje polskie książki przysłałam sobie z Polski, kolejne tytuły przysyłali mi rodzice, lub kupowałam je sama podczas pobytów. Coraz częściej też sięgałam do biblioteki Richarda i coraz odważniej zapędzałam się do zuryskich księgarń. Jeszcze nie odczuwałam prawdziwej przyjemności w czytaniu książek w oryginałach, ale już bez wewnętrznych oporów mogłam czytać oryginały równoległe z ich tłumaczeniami. Tak między innymi przeczytałam "Die Wahlverwandtschaften" - "Powinowactwo z wyboru" Goethego. Przypomniała mi się ta lektura, gdy sprawy uczuciowe w naszej trójce zaczęły się, zgodnie z planami naszych Losów, wikłać.

Wiosna w Nowym Jorku

Rok po zwariowanej podróży do Włoch wybraliśmy się na cały miesiąc do Nowego Jorku. Kwiecień w Nowym Jorku! Czy może być coś wspanialszego? A przypominę, że świat zachwycał się wtedy musicalem "Hair" Milosa Formana. Inna sprawa, że w Nowym Jorku akurat trwał strajk komunikacji miejskiej, wszędzie trzeba było docierać albo taksówkami, albo na rowerach czy jednośladowych wrotkach, czyli coraz popularniejszych rolkach, albo po prostu na butach. Pieszko przemierzaliśmy cały Manhattan wzdłuż i wszerz bawiąc się widokiem urzędników w garniturkach i krawatach z obowiązkowymi teczkami mniej lub bardziej umiejętnie lawirujących między sobą na rolkach. Zaglądaliśmy do niezliczonych galerii i galeryjek, wysłuchaliśmy x koncertów czasami w salach koncertowych a czasami w najdziwniejszych miejscach zaadaptowanych przez najbardziej odjazdowych muzyków jazzowych *ever*, wjechaliśmy na taras widokowy World Trade Centrum, my po raz drugi, moja, a właściwie to już nasza przyjaciółka, po raz pierwszy. Czy coś tak doskonałego może się jeszcze za naszego życia zawalić? Przestać istnieć?

To w Nowym Jorku po raz pierwszy zauważyłam, że coś zaczyna się między nami dziać takiego, co powoduje, że każde z nas zamyśla się całkiem osobno niedopuszczając nikogo innego do swoich rozważań, że w naszym wspólnym świecie zaczynają pojawiać się pęknięcia i rysy, coraz mniej rozmów, a coraz więcej milczenia. A po powrocie do Szwajcarii nasz dom zaczął przypominać trochę sztukę Sartre'a "Przy drzwiach zamkniętych", "Huis-clos". Znałam tę sztukę. Znał ją oczywiście i Richard. To była lektura na francuskim w Minervie, on ją

przerabiał z uczniami, ja ją przerobiłam jako jego uczennica. Widziałam ją też wtedy w teatrze telewizji niemieckiej.

Teatr na trzy losy

Teatr, obok książek i filmów, to była moja wielka namiętność, a Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir byli autorami, których podziwiałam za ich książki i styl życia, ba, zanim zauroczyłam się kolorowym flower-power, uważałam się za "czarną egzystencjalistkę". Po polskiej maturze startowałam do krakowskiej Szkoły Teatralnej, na starcie się skończyło, ale doświadczenie przygotowań, egzaminu wstępnego, nadziei i porażki miałam, że tak powiem, uwewnętrznione. Nie mam pretensji do Losu za wycofanie mnie z tej ścieżki, bo o wiele bardziej wolę mierzyć się z pisaniem niż z wystawianiem się na scenie, a za doświadczenie jako takie i przyjaźnie, które wtedy zawarłam, jestem mu wdzięczna. Wśród przygotowanych na egzamin tekstów wybrałam sobie fragment "Much" Sartre'a. W liceum jeszcze czytałam "Mandarynów" Simone de B., już po liceum "Mdłości" Sartre'a.

A teraz jego "Przy drzwiach zamkniętych" a i trochę jej "Mandarynów" przeżywałam na własnej skórze. Mówię to metaforycznie, bo nie chcę opisywać ze szczegółami tego, co jest nie tylko moim życiem. W każdym razie rozmawialiśmy wtedy o sztuce Sartre'a zadziwieni, że może być tak prawdziwa. Opis sfilmowanego "Huit-clos" ze strony filmweb.pl: *Po swej śmierci trójka bohaterów - dwie kobiety i mężczyzna trafiają do swoistego piekła - dziwnego hotelu. Zostają zamknięci we wspólnym, zamkniętym pokoju, w którym mają przebywać przez całą wieczność i którego nie mogą opuścić. Każde z nich ma na sumieniu grzechy, które doprowadziły ich właśnie w to miejsce. Jednocześnie mają pełną świadomość, widzą, co dzieje się na ziemi z osobami niegdyś im bliskimi. Dodatkowo muszą jakoś ułożyć swe dalsze "życie" w trójkę, to, że już zawsze będą ze sobą przebywać...*

Naszą trójkę los połączył na zawsze, moja przyjaciółka, która ma takie samo imię jak ja, po ośmiu latach od tamtych wydarzeń została żoną Richarda i odtąd nazywa się tak samo, jak ja się nazywałam jako jego żona, a że i adresu nigdy nie zmienili na inny, ma ten sam adres, który i ja miałam. Mają też wspólną córkę, dziś piękną młodą prawniczkę, bo moja przyjaciółka w przeciwieństwie do mnie bardzo chciała mieć dziecko i Richard w końcu musiał ustąpić. To ja opuściłam wtedy ten "dziwny pokój". Wyjechałam do Krakowa, spotkałam się z teatralnymi kolegami, zakochałam (na jakiś czas) w jednym z nich, a kiedy wróciłam do Zurichu, Zurich już był inny, czasy inne i ja inna.

Losowe dwa w jednym

To właśnie wtedy spotkałam "blondyna swojego życia", którego nazwiskiem podpisuję ten tekst. I właśnie wtedy w mojej głowie oba moje światy połączyły się w jeden świat, i polski, i szwajcarski, nie miałam już poczucia rozdwojenia, wszystko stało się jednym. Niemiecki jest dla mnie "pierwszym językiem drugim", mogę czytać literaturę piękną, poezję, eseje z tą samą przyjemnością, z jaką czytam po polsku. Zawieszona studia matematyczne wymieniłam już bez strachu na kierunek humanistyczny, historię sztuki, której wprawdzie nie skończyłam formalnie, ale bo i nigdy nie skończyłam się jej uczyć. Jeszcze będąc na studiach, w 1986 roku, zaczęłam pisać recenzje z wystaw do gazet szwajcarskich, w 10 lat po tym, jak przyjechałam do Szwajcarii po raz trzeci, żeby już w niej zostać.

W 1986 roku z mojej inicjatywy przyjechała też do Zurichu krakowska Piwnica pod Baranami, napisałam o tym do polonijnego pisma wydawanego w Zurichu i odtąd zaczęła się moja stała współpraca z jej redaktorem, dziś już nieżyjącym niezapomnianym Tadeuszem Wojnarskim, a także - dzięki temu - moja współpraca z literacko-teatralnym klubem dla Polaków ze Szwajcarii zapraszającym najwybitniejszych polskich ludzi kultury założonym w 1986 roku i prowadzonym do dziś przez Barbarę Ahrens-Młynarską (siostrę Wojciecha i ciotkę Agaty, Pauliny i Jana)... Przepaść między Polską a Szwajcarią, polskim a niemieckim, znikła, jakby jej nigdy nie było.

Gdy jestem w Polsce, tęsknię do Szwajcarii, gdy jestem w Szwajcarii, tęsknię do Polski, tęsknię też do ludzi, których znałam, do miejsc, w których byłam, czasami zatęsknię do równoległych scenariuszy mojego życia, do

któregoś z wielu możliwych innych losów, tęsknota jest nieodłącznym doświadczeniem mojego życia, jednocześnie wzruszającym i dokuczliwym, czasami lubię ją bardziej, czasami mniej. Ale mojemu Losowi kłaniam się za pomysłowość w zaskakiwaniu mnie do dziś coraz to nowymi pomysłami, niezły z niego filut, dziękuję Panu, danke, mein Herr.

*

Ilustracja, "Anielica" Niki de Saint Phalle od lat latająca pod dachem zuryskiego dworca głównego, to zarazem XIV karta Tarota, "Umiarkowanie", "Temperance". Karta ta symbolizuje równowagę, balans, harmonię, porozumienie, łączenie, cierpliwość, przyjmowanie, a także sztukę, alchemię i integrację. Alchemiczne połączenie. Karta XIV jest komplementarna do karty VI, to "Kochankowie", pierwotne znaczenie XIV to konsumpcja królewskiego małżeństwa z karty VI. "Anioł" przelewa dwa płyny z kielicha do kielicha, czym równoważy ich temperatury, lub miesza dwa różne płyny ze sobą, np. wodę z winem (jak robili to starożytni Grecy, żeby wino nie było za mocne, nie uderzało do głowy). Na kartce Tarota "Anioł" stoi jedną nogą na łodzi, drugą w wodzie łącząc te dwa żywioły ze sobą. Karta ta patronuje m.in. urodzonym 14 grudnia, jest to dzień moich urodzin. Niki de Saint Phalle stworzyła w latach 90. w Toskanii tzw. Ogród Tarota (Il Giardino dei Tarocchi). Jej zuryska Anielica łączy się z tym ogrodem. Niki była partnerką szwajcarskiego artysty Jeana Tinguely'ego, często tworzyli razem, łączyli swoje talenty.

*

**Dopisek z 5 listopada 2016: wczoraj dostałam wiadomość od mojej przyjaciółki, żony Richarda, że Richard zmarł 31 października.*